LOKALNIE · #POLSKIEPIEKIEŁKO

JESTEŚMY TU OD WCZORAJ. CZY POLSKA JEST PAŃSTWEM ZNIKĄD?

Jan Fiedorczuk · 15 kwietnia 2025

Współczesna Polska jawi się jako „państwo znikąd", a współczesny Polak jako twór doktora Frankensteina.



Zignorowanie 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego przez polskie władze nie może zaskakiwać. Ta sytuacja oddaje bowiem istotę ideowego rdzenia III RP – państwa znikąd. Nie ma u nas refleksji nad głębią polskich dziejów, nad naszą tożsamością i przyszłością. Wielka polityka pozbawiła nasz naród politycznej ciągłości, przez co polska tożsamość stoi pod ciągłym znakiem zapytania. Czemuż ktoś miałby się odwoływać do wydarzeń sprzed tysiąca lat, skoro po cichu wszyscy zakładają, że Polska zaczęła się w 1989 roku?

Współczesny Polak jako potwór Frankensteina

Kim jest współczesny Polak? Parafrazując św. Augustyna – dopóki o tym nie myślę, rzecz wydaje się oczywista, gdy staram się ten problem ubrać w słowa, staję przed nieprzekraczalnym murem. Współczesny Polak – ten po Jałcie i Teheranie, po marcu '68 i grudniu '81, po zachłyśnięciu się wolnością i doświadczeniu jej bolesnych konsekwencji. Kim jest ten Polak po śmierci papieża, Smoleńsku i wojnie polsko-polskiej? Ten, który z tyłu głowy ma wszelkie nasze tragiczne powstania, który obija się między kard. Wyszyńskim a Gombrowiczem? Ten, który żeni kult Piłsudskiego z kultem demokracji? Polak, który tęskni

za Kresami, na których nigdy nie był? Ten, który marzy o nowej Rzeczpospolitej, chociaż patrzy z góry na Białorusinów i Ukraińców? Ten, który jest trochę na Wschodzie, a trochę na Zachodzie, chociaż właściwie sam nie wie, co te łatki mają oznaczać... Dochodzę do wniosku, że współczesny Polak to tożsamościowy potwór doktora Frankensteina – mozaika, którą ktoś stłukł, skleił, a następnie powtórzył ten manewr parokroć. Nie może być inaczej. Nie sposób myśleć o polskości, nie popadając w kolejne aporie.

Historia, pojawia się w polskiej debacie publicznej nawet często, ale dzieje się to albo w kiczowatym przebraniu, albo służy za pałkę do partyjnej awantury (żołnierze wyklęci z jednej, polski antysemityzm z drugiej strony). Ciężko wskazać na jakąś przemyślaną politykę historyczną III RP.

> Brak jakiejkolwiek powagi wobec tysiąclecia polskiej korony, do których to obchodów powinniśmy szykować się od kilku lat, jest w rzeczywistości kontynuacją linii wytyczonej przez słynnego orła z czekolady. To realizacja doktryny całej III RP – państwa, które istnieje tylko teoretycznie.

I nie chcę tu jedynie krytykować obecnej ekipy rządzącej (nawet jeżeli jej „zdobycze" na tym polu przyćmiewają poprzedników), ponieważ dojście do władzy prawicy w 2015 roku zapowiadało zwrot w tej kwestii i niosło ze sobą obietnicę odnowy. Patrząc z perspektywy czasu, trudno jednak nie odnieść wrażenia, że Prawo i Sprawiedliwość zmarnowało osiem lat rządów. Skupiono się na pompatycznych, często wręcz kiczowatych obchodach i tematach, które zdaje się bardziej służyły bieżącej taktyce niż realnym działaniom na niwie kultury i metapolityki. Symbolem może być tutaj żenująca wręcz sytuacja, jaka narosła wokół muzeum Bitwy Warszawskiej czy szerzej – setnej rocznicy odzyskania niepodległości.

Pamięta ktoś jeszcze w ogóle pomysł postawienia Łuku Tryumfalnego w stolicy? „Pomnik Bitwy Warszawskiej powinien być już 30 lat temu, 20 lat temu, 10 lat temu, powinien być w przyszłym roku – nie będzie, ale obiecuję, on stanie w krótkim czasie, musi stanąć w krótkim czasie" – zapewniał w 2019 roku ówczesny premier Mateusz Morawiecki. PiS rządziło jeszcze kolejne cztery lata i oczywiście żadnego pomnika nie doczekaliśmy. Były ważniejsze rzeczy – pandemia, wojna na Ukrainie, wybory... Zawsze są jakieś ważniejsze rzeczy, a kwestie związane z kulturą i metapolityką schodzą na dalszy plan przyćmione przez pulsującą polityczną teraźniejszość. Problem w tym, że poruszane tu kwestie wbrew pozorom odgrywają fundamentalne znaczenie dla wspólnoty politycznej – skupianie się na wiecznym TERAZ jest otumaniające, zaciera nam w szerszym planie nie tylko to skąd pochodzimy (porzucamy tożsamość), ale również dokąd zmierzamy (porzucamy planowanie przyszłości). Bo tylko znając swoją przeszłość, możemy roztropnie wybrać kierunek na przyszłość.

> Józef Szujski twierdził, że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki. Ale jeżeli to prawda, to brak historii musi implikować brak polityki – przynajmniej tej podmiotowej. Naród bez historii to tylko społeczeństwo.

Naród straumatyzowany, czyli istnienie Polski pod znakiem zapytania

Polska powraca jako samodzielny byt polityczny w 1989 roku. Powraca w przedziwnych okolicznościach,

gdyż właściwie siłą rozpędu i z nadania zachodnich potęg, a nie własną inicjatywą. Sama niepodległość zostaje Polakom niejako narzucona – komuniści musieli się podzielić władzą, ale przecież nie doszło do żadnej rewolucji. Wieszanie, choćby i symboliczne, o którym po cichu marzył Rymkiewicz, nie ziściło się. Wprowadzono kolejne zmiany w ustroju politycznym, ale przecież już choćby reformy gospodarcze były wdrażane jeszcze za poprzedniego systemu. Wszak najbardziej wolnorynkowa ustawa w najnowszej historii Polski została wprowadzona jeszcze za schyłkowego PRL-u przez Mieczysława Wilczka, a następnie jedynie stopniowo od niej odchodzono.

> III RP rodzi się więc w przedziwny sposób – siłą zewnętrzną, nie wewnętrzną. Rodzi się jako spadkobierca PRL-u i nie potrafi odnaleźć się w nowej rzeczywistości, nie znajduje swojej tożsamości politycznej. Trwa siłą rozpędu.

Czy PRL był państwem polskim czy moskiewską kolonią? A może jednym i drugim? Kim był generał Jaruzelski? Zbrodniarzem czy – jak mówił jeden z bohaterów Solidarności – „człowiekiem honoru"? Nasze nowoczesne państwo rodzi się w chaosie pojęć, terminów i emocji. Kim są komuniści w III RP? Polakami czy zdrajcami? Niszczyli Polskę czy odbudowywali ją po II wojnie światowej? Większość społeczeństwa jest dumna z dziedzictwa Solidarności, ale ta sama większość dwukrotnie wyniosła do najwyższego urzędu w państwie dziecko komunistycznego reżimu.

> Nowoczesna Polska to państwo po przejściach, to naród straumatyzowany, który ma poważne problemy z własną tożsamością.

Ten stan zagubienia odbił się nawet w preambule naszej konstytucji, która jest wypełniona wielkimi słowami, ale tak naprawdę nic z nich nie wynika. Z jednej strony ustawa odwołuje się do Narodu, z drugiej do „wszystkich obywateli RP", z jednej strony fundamentów aksjologii szuka w wierze chrześcijańskiej, z drugiej zastrzega, że te same prawdy można znaleźć „w innych źródłach", nie wskazując jednak w jakich. Ten krótki wstęp jest przepełniony pustosłowiem, które dość dobrze ukazuje, jak państwo wychodzące z komunistycznej dyktatury było wewnętrznie pogubione na najbardziej prymarnym poziomie.

Sięga to oczywiście zdecydowanie głębiej niż PRL – mamy podzieloną II RP, gdzie naczelny bohater polskiego społeczeństwa dokonał zamachu stanu, grzebiąc demokrację i wylewając na ulice Warszawy więcej polskiej krwi niż generał Jaruzelski w czasie stanu wojennego; mamy II RP, która chciała być państwem narodowym, a była zmuszona być państwem wieloetnicznym; II RP, gdzie zamordowano pierwszego demokratycznego prezydenta; II RP, w której dwa największe obozy, dzięki którym udało się odzyskać niepodległość, strzelały do siebie na ulicach. A przecież nie sposób nie sięgnąć do zaborów, gdy rozłupano polską państwowość, rodzący się naród podzielono między trzy organizmy, skradziono nam naszą nowoczesność, co następnie zaowocowało „modernizacją przez kserokopiarkę", a polską formę skazano na odbijanie się od insurekcyjnego zrywu do akcji lojalistycznych. Oczywiście dzisiaj sprawa rozbiorów oddziałuje już raczej pośrednio – to kwestia perspektywy historycznej, horyzontu czasowego. Dlatego

większe poruszenie wywołują kolejne rocznice Powstania Warszawskiego, a nie na przykład Bitwy Warszawskiej. Po prostu weteranów pamiętających victorię 1920 już pośród nas nie ma. W oczywisty sposób doświadczenia PRL-u i II wojny światowej są mocniej zaznaczone w naszej świadomości historycznej niż walki u progu narodzin II RP czy, tym bardziej, zrywy niepodległościowe z XIX wieku. Niemniej to że przeszłość blaknie, nie oznacza, iż nie odciska na nas swego piętna – odciska, tylko dzieje się to w sposób przez nas nieuświadomiony.

Jest to przejawem tzw. traumy transgresyjnej, gdy tragiczne doświadczenia są przenoszone na kolejne pokolenia. Traumy pokoleniowe odnoszą się zazwyczaj do doświadczeń rodzinnych, ale głupotą byłoby sądzić, że omijają całe wspólnoty. Jeżeli Rzeczpospolitą gwałcono i mordowano, to musi to pozostawić ślad na naszej psychice. Oczywiście zachodnie narody również mają swoje problemy związane z tożsamością, często są to dylematy zanurzone w historii, często są pokłosiem masowej migracji, która przymusza je do redefiniowania pojęcia narodowości itd. Żaden z wielkich narodów Zachodu nie musiał jednak przechodzić przez takie traumy, jak państwo polskie, które co kilkanaście, kilkadziesiąt lat stawało na krawędzi zagłady i gdzie każde kolejne pokolenie musiało niemal od zera budować wspólnotę.

> Cały polski byt ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat był wszak ciągiem traum, rewolucji i śmierci, gdzie niemożliwym było zbudowanie trwałych fundamentów, instytucji i kultury politycznej. Dariusz Gawin określił kiedyś ten stan mianem „prześwitu ontologicznego", czyli takiej sytuacji, w której Polacy musieli regularnie mierzyć się z realną groźbą wyginięcia.

Polska zerwanej ciągłości

„Polska, jaką znam i w jakiej żyłem od urodzenia to Polska zerwanej ciągłości. Powstała jako twór nowy, budowany świadomie w opozycji do wszystkiego, czym była przez wieki" – tymi słowami rozpoczyna się słynny *Esej o duszy polskiej* Ryszarda Legutko, w której to pracy autor wnikliwie analizuje polskie problemy z tożsamością narodową w XX wieku. II wojna światowa oraz komunizm – wskazuje filozof – dokonały trwałych zmian w polskiej świadomości zbiorowej. Po pierwsze zabrano nam Kresy, obszar, który od wieków miał olbrzymie znaczenie w polskim imaginarium. To właśnie na wschodnich terenach rodziły się legendy dzieł Sienkiewicza, to stamtąd pochodzili Mickiewicz i Słowacki, Kościuszko i Piłsudski. Hekatomba komunizmu i nazizmu dokonały też gwałtu na polskich dworkach, ziemiaństwie, arystokracji i inteligencji. Warstwach, które nosiły w sobie naukę o polskości, które przekazywały ten bezcenny dar przyszłym pokoleniom, a które zostały przetrzebione.

III RP jest dziedzicem tych demonów i choćby fakt, że uciekamy od własnej historii, że błądzimy po omacku jest tego najlepszym dowodem. Dlatego jesteśmy „starą panną na wydaniu", a każde łaskawe poklepanie po plecach, jakiego dostępuje polski dygnitarz od przedstawiciela zachodnich elit, jest witane jako wiekopomne wydarzenie. „Polak współczesny ma poważne kłopoty tożsamościowe, bo nie wie, co konstytuuje jego dzisiejszą rzeczywistość, co go ukształtowało, co ma chwalić, a co ganić, jakie są jego możliwości, miejsce i rola we współczesnym świecie, z czego w przeszłości powinien czerpać oraz jakie wyzwania przyszłe przed nim stoją" – podkreśla Legutko.

Praca krakowskiego filozofa nie powinna być czytana bezkrytycznie. Jakkolwiek kwestia „zerwania ciągło-

ści" jest doskonale uwypuklona, to już apokaliptyczny ton, jaki przyjmuje słynny myśliciel, z którego wynika jakoby III RP była de facto jednym wielkim wypaczeniem polskiej tradycji czy wręcz nie miała z nią nic wspólnego, jest atrakcyjny w swej stanowczości, jednak trąci radykalizmem – koniec końców jest to nadal państwo polskie, jedyne jakim dysponujemy; państwo, któremu wszystko zawdzięczamy i w którym wiele dobrego udało się osiągnąć.

> Dlatego właśnie tak bulwersująca jest praktyka rządów ostatnich trzech dekad – skoro mamy cały czas do czynienia z piętnem „zerwanej ciągłością", to prowadzenie mądrej polityki historycznej, nastawionej na utrwalanie polskiego kodu kulturowego, powinno być priorytetem każdej polskiej władzy.

Byli oczywiście ludzie, którzy rozumieli powagę sytuacji – Janusz Kurtyka, Tomasz Merta czy choćby prof. Andrzej Nowak – jednak żaden z nich nie miał odpowiedniej siły przebicia, by wymóc na politycznej górze podjęcie ofensywy. Chlubnym wyjątkiem pozostaje Lech Kaczyński, dzięki któremu udało się ostatecznie zerwać z próbami opluwania powstańców warszawskich i przywrócono kult żołnierzy z 1944 roku. Na prawicy padają głosy dot. niuansowania tego osiągnięcia, wskazuje się, że w centrum polskiej narracji postawiono „obłęd '44" itd. Nie zgadzam się z tymi głosami, gdyż alternatywą nie była wyważona, „centrowa" polityka historyczna, alternatywą było zapomnienie, ignorancja i artykuły w prasie liberalnej kreujące powstańców na barbarzyńców opętanych antysemickim szałem. Lech Kaczyński rozumiał ten wybór i chwała mu za to.

Wyzwolić się od historii

Gdy w 1989 roku Polska powróciła jako niepodległe, demokratyczne państwo, mainstream z marszu uznał pytania o polską tożsamość za zbędne. Takimi pytaniami mogą zajmować się filozofowie, historycy, może pisarze, ale nie politycy. Milcząco zaakceptowano quasi-fukuyamowski model demoliberalizmu, w ogóle nie biorąc pod uwagę, że Polska, która przeleżała 50 lat pod sowieckim lodem oraz wcześniej 123 lata była pozbawiona niepodległości, nie może iść tą samą drogą co zachodnie demokracje. Tak jak człowiek, który wychodzi ze szpitala po ciężkiej chorobie, nie będzie na siłowni podnosił takich samych ciężarów, co jego koledzy. Nie będzie w stanie dotrzymać tempa młodszym i silniejszym sportowcom, którzy ostatnie miesiące spędzili nie w łóżku szpitalnym, tylko na siłowni. Polska chciała jak najszybciej zapomnieć o PRL-u, o zaborach, o całej tej historii traum, klęsk i upokorzeń, nadrobić dzielący nas dystans i zacząć żyć życiem zachodnim.

Ten zabieg, ten pęd przed siebie bez oglądania się na historię, miał w latach 90. oczywiście bardzo konkretne podłoże. Jednym z głównych filarów młodej III RP było „pojednanie się" z komunistami (czyli dealowanie, bo prawdziwe pojednanie wymaga przebaczenia), a nie dało się tego zrobić, cały czas rozpamiętując dawne krzywdy, rozliczając zbrodnie i budując sprawiedliwe państwo. Liberalne ośrodki zaczęły patriotyzm albo sprowadzać do idei kasowania biletów i sprzątania po psie, albo wręcz obrzydzać samą wspólnotę narodową. Do debaty zaczęły trafiać stwierdzenia, że „patriotyzm jest jak rasizm", a powstańcy warszawscy w czasie wolnościowego zrywu zajmowali się głównie tropieniem Żydów. Za tym podążyły tezy o modernizacyjnym charakterze rozbiorów, przy jednoczesnym oczernianiu wszystkiego, co kojarzyło się z „klasyczną" polskością – katolicyzm stał się zabobonem, sarmatyzm synonimem anachro-

nizmu i głupoty. W centrum tej narracji znalazła się endecja – czarny symbol nacjonalistycznego zaczadzenia, wsteczniactwa i polskiego faszyzmu. Wyrazem tego obsesyjnego wręcz wiązania endecji ze wszystkim, co w polskiej tradycji najgorsze, było słynne zdanie Czesława Miłosza, że „jest ONR-u spadkobiercą Partia". Zdanie na kilku poziomach idiotyczne, ale jako że niezwykle zgrabne – wszak Miłosz wielkim poetą był – zostało podchwycone przez mniej lotne umysły i powtarzane bez żadnej refleksji. Miłosz zresztą dotknął tu czułej struny w polskim sercu, gdyż wszelka krytyka polskości stała się w XX wieku cechą wyróżniającą rodzimego inteligenta. Oczywiście cierpkich słów swemu narodowi nie skąpili również jego najwięksi – Słowacki, Dmowski, Piłsudski, kard. Wyszyński – ale ich krytyka nie wyrastała nigdy z kompleksów wobec zachodu, tylko albo z chęci naprawy sytuacji, była więc krytyką twórczą, albo z frustracji polskim niedasizmem, co z kolei świadczyło o emocjonalnym zaangażowaniu w polskie życie.

> W III RP krytyka czy wręcz odcięcie się od polskości stało się przepustką na salony. Krytyka Polski, bez względu jak niesprawiedliwa by nie była, została uznana za przymiot ludzi „na pewnym poziomie", co z biegiem czasu nabrało wręcz monstrualnych rozmiarów w postaci zjawiska określanego mianem ojkofobii. I Miłosz, znowu ten Miłosz, który już w latach 60. pisał, że jego patriotyzm jest „wątpliwy", a do Polaków czuje „odrazę", że „chyba Murzynem już lepiej nawet być", ten Miłosz okazał się prawdziwą awangardą liberalnych salonów, w czasach głębokiego PRL-u był jaskółką mainstreamu III RP.

Jason Bourne na Krakowskim Przedmieściu

Przeszłość ciążyła, pytania o tożsamość krępowały. Ktoś miał ojca w SB, czyiś dziadek był endekiem, ktoś był TW, ktoś inny był dorobkiewiczem, ktoś zawiódł się na micie Solidarności, ktoś się na tym micie wzbogacił itp., itd. Co miało te wszystkie losy łączyć? Cień historii opóźniał nasz wielki skok do zachodniego życia.

Symbolem Polski współczesnej jest Warszawa – miasto, w którym jak w soczewce skupiają się wszelkie nasze problemy z tożsamością. Warszawa przedwojenna była ważnym ośrodkiem na kulturalnej mapie Polski, miała własny charakter, folklor, tradycje. Warszawa była miastem, które stanęło do heroicznego boju z Niemcami, za co została wymazana z map świata. Na miejscu zbuntowanego miasta postawiono nową metropolię – o tej samej nazwie, ale z nowymi ludźmi, nowymi władzami. Miasto, które powstało, oprócz nazwy i lokalizacji niewiele łączyło z pierwowzorem. Piszę to bez szczególnego żalu, gdyż choćby moja rodzina była wśród tych tłumów, które z biegiem dekad zaludniły nową stolicę. Niemniej fakt pozostaje faktem – Warszawa jako twór ze swoją własną tożsamością przestał istnieć i została zastąpiona przez obecną tożsamościowo-ideową mozaikę. Centrum miasta, gdzie w pobliżu pozostałości kamienic stoi socrealistyczny Pałac Kultury, a dosłownie obok wyrasta odpychające Muzeum Sztuki Nowoczesnej, jest świetnym podsumowaniem obecnej kondycji stolicy. I tak jak Warszawa stała się miastem bez tożsamości, w którym pozostało jedynie echo dawnej stolicy, tak i III RP jest tworem, w którym odbija się jedynie echo tysiącletniej historii państwa. Miasto, które jest w miejscu Warszawy, które nazywa się Warszawa, ale które od Warszawy przedwojennej oddziela nieprzekraczalna granica. Miasto Frankensteina.

> Dariusz Karłowicz w jednej ze swych prac porównał współczesną Polskę do Jasona Bourne'a. Bohater powieści Ludluma traci pamięć, ale pozostały mu odruchy takie jak choćby umiejętność walki – jego ciało automatycznie reaguje na konkretne bodźce, mimo że sam Bourne stracił pamięć i, co w związku z tym, tożsamość. Tak samo współczesny Polak posiada „odruchy" świadczące o tysiącletniej historii państwa, ale nie posiada świadomości tej historii.

Półpolacy u bram

Ten felieton zaczął się od słów premiera Morawieckiego. Wróćmy na chwilę do tego. Gdy szef rządu obiecywał powstanie pomnika Bitwy Warszawskiej, na jego słowa zareagował ówczesny wiceprezydent Warszawy (!) Paweł Rabiej, który stwierdził, że stolica... nie potrzebuje takiego monumentu. „Panie Premierze, Warszawa ma wiele potrzeb, Pana rząd ograbił nas z wielu potrzebnych inwestycji, proszę sfinansować obwodnicę albo Sinfonia Varsovia" – apelował Rabiej. Postać byłego wiceprezydenta Warszawy jest doskonałą egzemplifikacją typu człowieka, którego Roman Dmowskim określił przed ponad stu laty mianem „Półpolaka". „Półpolak" to człowiek, dla którego jego narodowość jest kwestią drugorzędną, posiada daną tożsamość z przypadku i tak ją właśnie traktuje – nie jako przywilej i zobowiązanie, ale jako przypadek, folklor. „Przyjęli język polski i polskie zwyczaje – tyle, ile potrzeba do tego, żeby żyć w polskim środowisku, ale nie przyjęli obowiązków, jakie to korzystanie z polskiego życia na każdego nakłada" – opisywał Dmowski.

> III RP ze swoją niechęcią do historii stała się laboratorium „Półpolaków". Dobrze to unaocznia ofensywa minister edukacji Barbary Nowackiej i jej próby rugowania najbardziej fundamentalnych dla polskiej kultury dzieł literackich.

Wykrawanie z dzieł poszczególnych rozdziałów lub po prostu wyrzucanie wszystkich książek z podstawy wpisuje się w logikę opłacalności, która zapanowała w Polsce po przemianach ustrojowych. W klasycznej edukacji książki czytano, aby poznać najważniejsze symbole i kulturowe drogowskazy konstytuujące wspólnotę. Uczono się *z książek*, podczas gdy obecnie uczy się *o książkach*. Jest to na swój sposób logiczne, wszak dzieła sprzed dwustu lat nie przejawiają szczególnej wartości, którą można wymierzyć i spieniężyć. Dlatego też jak mantra powraca hasło *odświeżania* kanonu lektur, co samo w sobie jest kuriozalne, gdyż zawiera ciche założenie, że – dajmy na to – *Pan Tadeusz*, *Lalka* albo *Trylogia* są jedynie kolejnym towarem na półce w sklepie o nazwie resort edukacji. Skończył się popyt na Mickiewicza, to wprowadzimy Tokarczuk albo Żulczyka. Oczywiście nie chodzi o to, że tzw. kanon to słowo objawione, w którym nie można przecinka zmienić, tylko że są konkretne dzieła, które same sobą już reprezentują pewną wartość i odgrywają znaczącą rolę w kreowaniu tożsamości. Aby porównać, to trochę tak, jakby z nauczania historii wykreślić Bitwę pod Grunwaldem albo chrzest Polski, gdyż akurat nie ma „popytu" na te wydarzenia.

Jesteśmy tu od wczoraj?

Jak Czytelnik się zapewne domyśla, ten cały wywód służy ukazaniu szerszego planu i dowiedzeniu, że

ignorowanie przez obecny rząd obchodów tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego jest nie tyle przejawem złej woli, co raczej wyrazem szerszej tendencji rządzącej współczesnym państwem polskim. Donald Tusk i jego akolici bagatelizują tę sprawę, gdyż po prostu nie jest ona dla nich w żaden sposób istotna. Pomysł, że przez sam fakt sprawowania władzy mogą być postrzegani jako spadkobiercy Mieszka i Bolesława Chrobrego, byłby dla wielu z nich przecież zupełnie absurdalny. W tej optyce wbrew słynnemu plakatowi z „Bolesławami" z czasów II RP, jesteśmy tu – czyli na polskiej ziemi – od wczoraj. A konkretniej od 1989 roku. Wszystko, co pojawia się przed tą datą, staje się mgliste, wieloznaczne i niepokojące. Sama historia staje się niepokojąca i jako taka winna zostać odrzucona. Pamiętam jak kilka lat temu prof. Nowak wysunął propozycję budowy kopca Jana Pawła II, co mogłoby być doświadczeniem pokoleniowym. Jego idea została jednak zupełnie zignorowana zarówno przez prawicę, jak i lewicę, gdyż w wojnie polsko-polskiej nie było czasu na tego typu ekumeniczne projekty.

Również dzisiaj, gdy w znacznym stopniu możemy samodzielnie decydować o kształcie naszej ojczyzny, uciekamy od pytań o tożsamość i przeszłość. Marcin Król niegdyś stwierdził, że „liberałowie byli od początku uciekinierami z przeszłości i od pamięci", co tenże autor odbierał rzecz jasna pozytywnie, gdyż pamięć jest „niedemokratyczna", dzieli społeczeństwo i utrudnia budowę demokracji liberalnej. Ludzie z pamięcią mają system wartości, którego są gotowi bronić, co samo w sobie jest zarzewiem konfliktów. A przecież demoliberalizm miał być ustanowiony, aby rozbroić wszelkie niebezpieczeństwa związane z kłótniami o naród, państwo czy religię, a nie dodatkowo je wzmagać. Na koniec możemy jedynie powtórzyć wezwanie, aby – jeżeli diagnoza Legutki jest trafna – robić wszystko, aby przywrócić „zerwaną ciągłość" i uzmysławiać Polakom, że ich polityczna tożsamość sięga swymi korzeniami tysiąc lat wstecz. Tak jak dziecko oddane do sierocińca będzie przez całe życie nosić brzemię anonimowości, tak samo wspólnota odcięta od swych korzeni będzie skazana na trwanie w kompleksach podkopujących jej potencjał.

> Człowiek jest bytem czasowym, istotą zanurzoną w dziejach – wychodzi z historii i do historii zmierza. Gdy pozbawiamy się odwołań, symboli i znaczeń, to jedynie przycinamy naszą tożsamość, zamiast pozwolić jej bujnie rozkwitać. Stajemy się jak towarzysze Odysa, którzy skosztowawszy darów Lotofagów, zapomnieli o celu swej podróży, o swej historii, a w końcu o własnej tożsamości. Naćpani nowoczesnym lotosem, którego owoce oferuje nam każdego dnia współczesny świat, skazujemy się na życie w wiecznym Teraz.

Jest to perspektywa niezwykle uboga, gdyż rugując odwołania do przeszłości, wyklucza nie tylko myślenie w kategoriach wspólnoty, ale również odcina nas od przyszłości, udaremniając nasz rozwój. Bowiem tylko podmioty dziejów posiadają własną historię (a zatem własną polityczność). Perspektywa wiecznego Teraz jest perspektywą wiecznych peryferiów.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=7jOprraf8xI

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/jestesmy-tu-od-wczoraj-czy-polska-jest-panstwem-znikad/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć